Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 52. POZNAŃ, DNIA 26. GRUDNIA. **1842.**

Z dzisiajszym numerem kończy się półrocze drugie tomu piątego Tygodnika literackiego. Szanowni Prenumeratorowie przeto raczą złożyć przedpłatę na pierwsze półrocze tomu szóstego na król. pocztamtach lub księgarniach (główny debit ma księgarnia E. Günthera w Lesznie), aby przerwy w nadsyłaniu numerów niedoznali.

Redakcya Tygodnika.

A. Woykowski.

L'Anti Copernic.

Astrométrie nouvelle suivie de plusieurs problèmes par lesquels il est prouvé que le système de Ptolomée et de Copernic sont également faux, ... que la terre est plus grande que tous les corps célestes rèunis en masse, qu'elle n'a que le mouvement diurne, qu'elle occupe le centre du système planétaire, etc. Par l'Abbé Matalène. — Paris, 1842.

(Dokończenie.)

Podobnym sposobem idąc przez trzy niby dowodzenia, wywodzi p. Matalène, iż, ponieważ słońce w perigeum, w pobliżu ziemi, ma ośm cali pozornéj wielkości, a 6 cali w apogeum, czyli w dali ziemskiéj, jego prawdziwa wielkość, *en realité* tylko trzecią część metra czynić powinna. Nie wiedzieć zatém z jakiéj łaski w samém założeniu i na okładce powiedział: „Que le soleil n'a pas un mètre de diamètre,“ jakoby blisko metr zawierać powinno; nie przypuszczając jego powyższéj *réalité*, przekonani jesteśmy „que le soleil n'a pas un mètre de dia mètre.“ Trudniéj nam wierzyć w granice oddalenia słońca i ziemi, że „la distance de la terre au soleil ne peut pas par conséquent dépasser 7610. lieues, ni être moindre de 1087.;“ drugie prawda, ale pierwsze nie; p. Matal. powinien był raczéj znowu swym sposobem powiedzieć, że owa „distance ne peut pas être ni 7611., ni 1086. lieues,“ a pewno nie byłby skłamał. Idąc już odpowiednio p. Matalène i biedną Wenus tak zlilliputował, iż jéj dał wielkość kuli billardowéj paryskiéj: zdaje się, że tam kule billardowe muszą mieć wielkość normalną, może także na cząstki południka wyrachowaną, kiedy takową kulą p. Matalène Wenerę zmierzył. Lepiéj byłby pan Matalène jednak uczynił, porównywając Wenus, zamiast do twardych bil, raczéj do pomerańczy, jako na wstępie i okładce był powiedział: „que l'etoile de Venus n'est pas si grosse qu' une orange,“ a lepiéj jeszcze, gdyby Wenus, a wreszcie komety, z pomerańczami, jabłkami, ulężałkami i t. d., był porównał: jakżeż owa obawa niektórych poważnych astronomów, iżby kometa jaki ziemi naszéj nie rozbił, byłaby się w przyjemną illuzyą przemieniła, że nam jeszcze kiedyś pomerańcze, jabłka, ulężałki, z nieba *na ziemię spadać będą*.

Czytelnik artykułu powyższego nie będzie się pewnie gniewał, żeśmy go tak długo baraszkami nasze-

mi i błędami przez p. Matalène ustrojonemi, w prawdę zatrzymali; wszakżeż główną winę miałby p. Abbè Matalène, który nam dał do téj rozprawy powód. Ale prócz tego przyzna téż sprawiedliwy czytelnik, zwłaszcza, jeżeli nie zupełnie mu jest obca ta część naukowości, iż małą tylko część rozprawy zajęły fraszki pana Mat., kiedy największa jéj część zawiera wiadomości, badania i wyrachunki z pola tak szczytnéj astronomicznéj nauki: pozna światły czytelnik, że podania takie, jakie tu powyżéj są umieszczone, przy sposobności wyjaśnienia gwiazd polarnych północnych, aczkolwiek tu we względzie gwiazdy Deneb w Łabędziu na 15520 lat cofnięte zostały, aczkolwiek we względzie Alpha w Smoku na rok 22909. po Chr. się rozciągają, przecież nie są lekkomyślnie rzucone, ale oparte na ścisłym obrachunku; będzie mógł równie się przekonać, jak doniesienie o Yu-Chi jest z ważnego dzieła Baillego czerpnięte i nie tylko ma wszelkie prawdopodobieństwo za sobą, ale i powagę historyczną, tém mocniejszą, kiedy prawie powszechnie się zgodzono, iż pewniejsza historya chińska, aż r. 2952. przed Chrystusem sięga. Domniemania jedynie i na błędnych podporach wsparte, obrachunki pana Mat., okazują się fałszywe, a po części śmieszne: wszakże już dawno wspomnieliśmy, iż pana Matalène cel główny był, iżby z ciekawych czytelników, jak ów pseudo-młody Herszel, wiele wybroszurować pieniędzy. Nie lękajmy się więc o naszę ziemię, że jéj p. Mat. wiele ujmuje życia, pozwalając jéj się tylko na około siebie kręcić: chodzi ona na około słońca, które Kopernik jako nieruchome w środku naszego najbliższego świata postawił. Ale po Koperniku duch czasu daléj jeszcze sięgnął, kiedy domniemania, po części na analogiach, po części na doświadczeniach oparte, coraz więcéj rzeczywistości dochodzą: już i słońce nie jest sercem bez ruchu, bez duszy, ale mając samo koło siebie ruch wirowy, również około innego jakiegoś ciała poważnie swój ruch odprawia. Trudno jeszcze powiedzieć, która gwiazda jest tym środkiem naszego i może i wielu innych słońc, otoczonych również planetami, księżycami i t. d.; najwięcéj ma podobieństwa do prawdy, że Syryusz, ta piękna gwiazda pierwszéj wielkości, tym jest środkiem. Ale nie na tem koniec; zdaje się, że temu odpowiednie mnóstwo znajduje się słońc, a raczéj systematów całkowitych słonecznych, które w wzajemnéj są z sobą zawisłości: takiemi słońcami są może wszystkie gwiazdy pierwszego rzędu i inne co do światłości, a z tąd i co do mniejszego od nas oddalenia, im bliższe, a wreszcie i cała droga mleczna, która niczém innem nie jest, jak tylko niezmiernym zbiorem słońc dalszych. Herszel w pobliżu pałki Oryona, narachował na powierzchni 15 tylko stopni długiéj, a 2 stopnie szerokiéj, przez swe sławne teleskopy, 50,000 takichże słońc: w jakąże nieskończoność mnóstwa słońc zamieni się cała ta droga mleczna. Ale i nie tu ustanek: same te takie drogi mleczne tworzą zapewne w znaczniejszem jeszcze oddaleniu, gdzie już światło słońc od siebie się odróżnić nie da, widzialne tylko plamy; i takich plam wiele spostrzegamy na niebie, a na niektórych, przez dobre teleskopy, istotnie gwiazdeczki jedne od drugich odróżnić się dają. Jeżeli tysięcy lat trzeba było, iżby obroty planetowe około słońca wykryć, ileż to czasu trzeba będzie, aby następnie obrot słońca i gwiazd, który dotąd tylko czuć się trochę daje, pod ścisłe wiedzy rozumowéj podciągnąć prawa. I gdzież w ten czas nasze znajdować się będą prochy? O jakże wielki, człowieku, jesteś; kiedy myślą, tą boską cząstką w drobniuchne organizmy mikroskopicznych zwierzątek i również w tak niezmierne otchłanie przestrzeni, w tak mnogie lat tysiące sięgać zdołasz; ale jakże z drugiéj strony nic jesteś, kiedy się tąże przestrzenią, tąże nieskończonością czasu mierzyć zechcesz. Zaiste, przenoszenie się myślą w te nieskończoności przestrzeni i czasu, poskramia wszelką dumę człowieka, niweczy znikome różnice między czasową zewnętrzną wyższością jednych braci, a gorszą dolą drugich, dozwala mu szukać prawdziwego szczęścia, jedynie w własnéj duszy, które znajdzie on w boskiéj harmonii z sobą samym i z sercami poczciwemi, co z nim równie czuć i rozumieć potrafiły. Szczęśliwy przyzna, że sięganie to myślą w krainy nieba, obfite przyniosło korzyści, i powie z rzymskim wieszczem:

juvat ire per altum
Aëra, et immenso spatiantem vivere coelo.

M. Braun.

Wielu historyków naszych nie chciało pojmować rządu Polski za Piastów.

(Dokończenie.)

Słabe królowanie w Polsce było rzetelnie czczone, bo było tylko wypływem woli narodu, woli powszechnéj *). Lecz gdy odkrycie Ameryki i napływ jéj

*) Pauper Rex et modicus, cujus census ad centum milia florenorum non pervenit, napisał Eguancyusz; ale, gdy mu Orzechowski powiedział, że ma 200,000 szlachty na potrzebę, zmazał i na to miejsce położył: „Detissimus regum, non auro, sed populo.“

złota, zmieniły postać rządów Europy, wzmagając siły królów, wtenczas i do Polski wdzierać się chciała zasada monarchii dziedzicznéj. „Naturalnym skutkiem téj zasady jest (mówi Rotteck w Allg. Welt-Gesch. T. III. str. 2.) że powracają ludy, bez różnicy, czy całe ich „massy lub same kasty, po zrzuceniu nienawistnego ja„rzma, wolności używały cywilnéj: do nicości polity„cznéj. Odtąd korzyść domów panujących, a nie lu„dów, staje się zabiegów i układów celem. Historya „Europy, historyą dynastyi; życie publiczne polityką „gabinetów; a obraz świata, regestraturą stósunków „familijnych, nabytków i tytułów.“ — Na to wstrząśnienie, nie był martwym naród polski. Baczniejsze oko zwrócił na królów swoich, a troskliwy o wolność, podejrzliwie mierzył ich kroki; zastrzegał sobie swobody w każdym układzie, a do podpisu uchwały, jakiéj bądź, rzadko używał swoich pełnomocników ręki, bez zrobienia jakiego zastrzeżenia, jakiego warunku; zawsze gotów do obrony ziemi własnéj, brzydząc się podbojami nadwerężającymi cudzą wolność, nie pozwalał królom swoim otaczać się najmowanemi strażami; w samém nawet wcześniejszém opatrzeniu kraju wojskiem stojącém, upatrywał dla siebie niebezpieczeństwo.

Kiedy błędy duchowieństwa wywołały reformacyą i ta szerzyć się poczęła w Polsce, nie mała liczba rodzin przeszła i chwyciła się nowéj nauki, z pod zawisłości zagranicznéj, a nieomylnéj władzy usuwającéj. Lecz gdy Luter, wydarłszy miecz z ręki Papieża, złożył go w ręce królów, trzymających już berło w jednéj, ostygł zapał do nowatorstwa; familie powracały do katolicyzmu, a naród widząc większe niebezpieczeństwo, w połączeniu władzy duchownéj z królewsko-świecką, chciał mieć dodawane w każdym nieledwie akcie i rzeczywiście dodawać zaczął wyrazy: „*zachowując wiarę przodków i swobody,*“ a z politowaniem patrzał, jak panujący piorunując na łakomstwo księży, sami ich bogactwa zagrabiali. Nie był to wpływ papizmu lub Jezuitów, że w paktach konwentach, uchwałach, konstytucyach sejmowych, mowach publicznych, brzmiały, jakby na straży będące: „*Wiara przodków i swobody.*“ Wszakże dopóki reformatorowie zmuszani byli szukać ocalenia osób swoich od ścigającéj przemocy, Polska dawała im przytułek, nie troszcząc się o Rzym. Lecz skoro naród poznał, że pod płaszczem wolniejszego wyznania kryje się absolutyzm, pozwalał i pomagał rugować nowość; nareszcie wyrzekł, że tylko Katolika chce na króla wybierać. Nie byłby pewnie Zygmunt August Alojzemu Lipomanowi, przysłanemu, aby szerzeniu się akatolicyzmu w Polsce zapobiegał, dał odpowiedzi: „*ja jestem królem z rękami związanemi,*“ gdyby sam naród nie szedł był za swojém przekonaniem. *)

Niekorzystne dla ludzkości skarby i płody nowego świata, nie tylko dodały broni wojującym przeciwko wolności, ale podały nowe żywioły miękości i zbytkom. Służalstwo i nikczemny materyalizm znalazły pastwę, którą odurzone, czołgając się wedle złocistych podwoi, nie chciały smakować w szlacheckiéj równości. Daremnie bronił się naród ustawy, zabraniającemi przybieranie tytułów obcych sobie; próżność nie nasyciwszy się jeszcze kniaziami ruskimi i litewskimi, dopychała się grafami i baronami; a szlachta, (jak ją często roskoszny Wojcicki maluje) z wąsem sumiastym, zawijanemi cholewkami, ostrą szabelką w skórce wężowéj, spluwała, powtarzając dawne prawo: „*Szlachcic na zagrodzie, równa się wojewodzie.*“ Mnożenie się hrabstw i rozmaitego rodzaju samodzierstw w Niemczech, musiało przerażać szlachtę, a magnatom poszeptywać naśladowanie; jeżeli się w śród Polski nienamnożyło państw i państwek oddzielnych od ciała Rzpltéj, przypisać należy obawie szabelek w skórce wężowéj, którą się przejmowali w ponczoszki i trzewiczki kuso ubrani obskakiwacze tronu. Wciskało się jednak z Niemiec, wraz z kolonistami na prawie teutońskiém osadzanymi, jus emunitatis i exemptio od ciężarów publicznych; co nie wzmagając władzy króla, ujmowało sił Rzeczypospolitéj.

Naród od pierwiastków wolny, umiejący cenić godność swoją, z podległości prawom tylko płynącą, musiał się przejmować troskliwością o swoje dobro; musiał być podejrzliwym względnie władzy, patrząc na to, co się działo w Europie od początku XVI. wieku. Zatrwożyła się reprezentacya narodowa, widząc, jak ów parlament francuzki, który regencye stanowił, Henryka III. przed sąd powołał, Karola VII. wyrokiem danym na wygnanie skazał, przez siedmnastoletniego Ludwika XIV. biczykiem rozegnany został. Jak krociuteńko wyrzekł: „*l'Etat, c'est moi*“ i ciągle godłu temu odpowiadał. Jak potomkowie zbawców Holandyi od tyranii hiszpańskiéj, sami wolności zagrażali; już albowiem syn Fryderyka Henryka Oranii, Wilhelm II., na następcę obrany, rozgniewany zmniej-

*) Nie bez słuszności zarzucają nam obcy, że szlachta była tylko wolna, a reszta ludu uciśniona. Możeby to dało się usprawiedliwić duchem czasu, prawami rzymskiemi stworzonego, jednak poprzestaniemy na zdaniu, że lepiéj jednak, gdy jakaś część ludu jest wolna, jak żadna. Powiedzenie Zamojskiego: „*Rex regna sed non impera,*“ w trzy wieki powtórzył p. Thiers i hałasu narobił; nie dodał przecież: „Sumus inste tutores regum et detrusores tirannorum.“

szeniem wojska, kazał 6. deputowanych, jadących na zgromadzenie, uwięzić. Zatrważał się naród polski, przypatrując się od dawna, co się działo z niepodległością Czech i Węgier przez wpływ dynastyczności; i témwięcéj odrażał się od przyznawania dziedzictwa królom swoim, kolejno o takowe zabiegającym. Cóż dopiero, kiedy już od królów, z którymi umowy zawierał, zawodów, niewiary doznawał, a nawet o zmowach na wydarcie praw i ujarzmienie przekonać się, smutną miał sposobność!

Historycy nasi nie chcąc widzieć, w kronikarzach przed Długoszem, świadectw, jako władza obierania sobie panujących i stanowienia praw, zawsze przy narodzie zostawała, zamiast godzenia i wyjaśniania podań, upatrywali jedynie przywłaszczania i swawolę w szlachcie; obejmując tém nazwiskiem, nie tylko rodowite rycerstwo, ale i takich magnatów, którzy wszędzie sobie podobni, tyle tylko bywają patryotami, ile w dobrem ojczyzny swojego własnego dostrzedz mogą. Tych prawdziwych winowajców, używających wpływu na przeparcie widoków, lub podporę dumy, i raz naród, drugi raz królów uwodzących, nie odróżniali od poczciwéj szlachty, zawsze na obronę kraju, na obronę siedzib, (których rozciągłość krotofilny Wojcicki ogonem psim mierzy) gotowéj. Nie mieli żadnego względu na pielęgnowane w sercach uczucie majestatyczności, a dobrowolne zobowiązania się królów (pacta conventa) w trąbkę zwinąwszy, do kieszeni chowali. Nie wchodzili w rozpoznanie, czy królowie swoim przysięgom zadosyć czynili, lecz gniewliwie ścigali każde odkazanie się narodu przeciw niewiarze, nadużyciu, lub celom dynastycznym. Opisali nam nieraz dokładnie królów, jakiego który był wzrostu, tuszy, cery, jakie znał języki, nie ledwie jaki miał apetyt, ale nam nie wytknęli uchybień i grzechów, przeciw prawom uświęconym narodu, najazdów obcych w imie dynastyi, przywłaszczeń cudzych bogactw przez brudne łakomstwo, wtłaczania szalbierzy na tron, dla własnego, lub potomstwa interesu, okropnych w skutkach frymarków o Mołdawią, Wołoszczyznę i t. d. Pokładaliże na szalę sprawiedliwości obowiązki króla z obowiązkami narodu? Bynajmniéj; zatajali troskliwie wszystko ich złe, a prześladowali to, co krzyżując samoistne zamiary królów, mogło na zasadzie praw i zwyczajów nazywać się narodową cnotą.

Ileż czynów i wypadków pokazałoby się w innem zupełnie świetle, gdyby historycy rzetelnie je opowiedzieli, nic nie zataili! Umieli upatrywać w formach Rzpltéj wady i niedogodności, ale mamyż z nich wiadomość, że królowie chcieli i umieli się wdrożyć w postępowanie parlamentarskie, dla poprawienia jednych a usunięcia drugich na drodze legalnéj, jawnéj i szczeréj, instytucyami ułatwionéj? Srogie były nadużycia i ze strony narodu; ale te nigdy nie płynęły z łona szlachty, *z cholewkami zawijanemi*, ale najczęściéj z orszaku tucznego starostwami obskakujących króla magnatów. Wieleż to sejmów zrywali sami królowie, przez namówione osoby! przecież naród, szlachta, nie oni zostali oskarzeni. Pewnieby się wykryło, że to dziecie niewiadomego ojca, *liberum veto*, koronowanych nie miewało opiekunów; że wszystkie konfederacye tak okrzyczane, płynęły ze złego królowania.

Nie chcieli być historycy nasi sprawiedliwymi sędziami i w dziełach swoich zostawili puściznę bogatą wstrętem dla przodków, którą się dziś tuczą niechętni rodacy, często niechętniejsi od obcych. Pisząc nową historyą, mamyż jeden tylko stos ogólny grzechów przodków układać, bez różnicy, bez wytknięcia prawdziwych winowajców? Nie, bynajmniéj; trzeba z niego wydobyć prawdę, któraby oddała hołd niewinności, wywołała imiona w pomroce wałęsające się, a wytknęła na odrazę występki i zbrodnie, a wzgardzie przekazała tych, co bogactwem, orderami, dygnitarstwami i starostwy osławiali swoje niegodziwości przed pisarzami historyi. Trzeba osądzać czyny i z nich wynikłe skutki nie według porządku, jaki istniał na zachodzie, ale według praw i zwyczajów krajowych; nie według wyobrażeń dzisiajszych, ale według właściwych epoce. Aby zaś nie zatruć zdrowego zdania swego, należy wyszukiwać czyste źródła, nie tandetne dzieła o Polsce sowizrzałów i paszkwilantów. *)

S.

Uwagi ogólne nad literaturą w Galicyi.

(*Dokończenie.*)

Kamiński otrzymał redaktorstwo gazety, odebrane Michalewiczowi. Scena polska na tém zyskała. Starają się aktorowie o dobór sztuk nowych i zajmujących, lecz nie przedstawiają tylko te, które cenzura pozwoli. Zdania publiczności, czy przedstawiona sztuka albo gra ich podobała się, wiedzieć nie mogą, bo we Lwowie nie ma publiczności, tylko policya. Wiadomo jest całéj Galicyi, że 1840. więziono i bito tych, którzy w teatrze przeciw opinii i policyi klaskali. Nowinkarz lwowski (Peumann) stoczył wtedy walną bitwę z galeryą, i dowiódł, jak się opinia publiczna formuje. Postawiono w różnych miejscach teatru policajów i płatnych śpiegów, ażeby klaskali w miejscach im wskazanych. Kto przeciw nim syczał lub bez nich klaskał, został zaraz przez nich samych uwięziony i pod straż oddany; nareszcie nowinki głosiły: ta sztuka była dobra, ten aktór grał dobrze, to miejsce zachwyciło publiczność. A oczewiście to chwaliły, gdzie policajom klaskać kazano. Tym sposobem spokój i porządek zaustalone na długo. Słowo publiczność używa się jeszcze w gazetach dla zamydlenia oczów za granicą i mieszkańcom na prowincyi. Jest ona we Lwowie czémsiś niewidomém

---

*) Epoka, od któréj słuszny zarzut należy się szlachcie polskiéj, że do prerogatyw swoich nie powołała stanu rólniczego i miejskiego, jest konfederacya barska, kiedy upadający duch wyłączności rodu dostrzegać mogła i niedostatek sił swoich widzieć była powinna. Jednakowoż jeżeli późniéj w sejmach wolnych podnosił się głos za nimi, sami pseudo arystokraci byli mu przeciwni. Roku 1831. tylko o uposażeniu włościan była mowa, bo równość w obliczu prawa była zaręczona.

i bardzo podobna do tybetańskiego biskupa (Lamy), który chociaż umrze, to wmawiają w prawowiernych Mongołów, że żyje, mówią jak o żywym. Nie raz go sami uduszą, a przecież utrzymują, że on nie umiera. Jak nazwiska nauk w historyi prawa natury etc. całkiem inne znaczenie mają w Austryi jak gdzie indziéj, tak też pod publicznością w Galicyi całkiem co innego trzeba rozumieć jak pod publicznością n. p. w Berlinie albo w Poznaniu. Wiedeńczykom nawet wolno oklaskiwać co się im podoba, wyświstać co ich obraża, co więcéj, głosować, jak który walc Straussa ma się nazywać? Galicyanie pozierają na te przywileje z utęsknieniem i zazdrością. Aktorowie lwowscy wiedzą, że nie od publiczności, lecz od względów policyi zawiśli i starają się o nie jak mogą. Ci, którzy mają nie zaprzeczone wyraźne talenta i ustalone już wzięcie, n. p. Nowakowski, Smochowski, Rułkiewiczowa, Starzewska, ci zobojętnieli na oklaski i wywoływania, bo niemogą zasłużonych, od urzędowych rozróżnić. Ci zaś, których talent jest wątpliwy, n. p. Rejmers, albo nie mieli dość czasu wykształcić się i potrzebują jeszcze względności, n. p. Radowska, albo nie mają zupełnie talentu, n. p. Kamińska i Zamęcka; ci mówię, jeżeli chcą być więcéj cenieni, jak zasługują, muszą sobie kabałami pomagać? Tak Kamińska n. p. unosi się zawsze w myślach ku sławie mężowskiéj i przywdziewa dobry zapas jego zarozumiałości, a gra źle; szczególniéj Dziewicę orleańską bardzo źle. Mimo tego jednak Gazeta Lwowska (mąż jest redaktorem,) nie może dosyć wynaleść jéj pochwał. Nie porównana artystka! głęboko pojęła rolę swoję. Przyjęta z uniesieniem etc. Gdybyśmy przynajmniéj wiedzieli, czy to jéj tak kadzi miłość mężowska, czy synowska? (bo dla gacha za brzydka i za stara) to trzebaby już odżałować prawdę dla cnót familijnych, i także pochwalić? Zamęckiéj grę gdyby jaki prostaczek chciał szczerze rozebrać i dowieść, że jest nudna i monotonna, że pucołowata pa—nienka (krztusiło mnie) prawie nigdy roli swojéj nie rozumie, ale ją zawsze na jedno dawne kopyto nabija; że aby pojąć ducha sztuki, jest na to za ordynaryjna; że ufając za nadto w środki brudne, nie przykłada usilności i pracy; że pomimo rzęsistych oklasków, śpiewa zawsze mylnie i nieprzyjemnie; że afronterya i bezwstyd nie są pięknością ani artystostwem: to ci panowie nie pozwoliliby tego drukować. Z resztą muszą aktorowie tamtejsi rozmaitym wpływom ulegać, przed różnymi rozumami układać się. Minął z górą rok, jak wezwali ich członkowie Stanów galicyjskich do siebie, a Alex. Fredro quasi judex competens taką wypalił perorę: „Dajemy wam pensyą, ale pamiętajcie, ażebyście w przedstawieniach waszych więcéj zważali na lożą, jak na parter, bo światło z góry pochodzi.“ Co za szlachetna emulacya z galeryą! Batowski żądał tragedyj klassycznych, Bogdan romantycznych, któś inny komedyj, a prezes Stadnicki, oper (bo żonę ma ślepą); a każdy dodawał: daiemy wam pensye. Przytém nauczano ich, że monarchiczny rząd jest najlepszy, że Rzeczpospolita nicpotém; doradzano zatém Kamińskiego na dyrektora. Wywijali się biedaczkowie jak mogli od téj klęski, ale co będzie jak djabeł nawarzy? Wszak Kamiński nie przestanie wić wieńców jeden po drugim, na czoła, co go wspierają; gotów nawet skłamać, i wydrukować, że to sława je plecie, choć jéj ani to w głowie. W téj chwili, kiedy czytelnik czyta moje opowiadanie, nie wiem, czy we Lwowie jest jeszcze jaki teatr polski. Od Wielkanocy 1842. miał się otworzyć nowy teatr Skarbka, który ma ten barbarzyński przywiléj, że obok niego żaden inny teatr we Lwowie istnieć nie może. Skarbek zobowiązał się tylko do przedstawień niemieckich. Stawiając teatr, zdawało mu się, iż chwyta się przedsiębierstwa czysto przemysłowego, że w żadne obowiązki względem publiczność nie wchodzi. Aktorowie lwowscy sterali wiek i zdrowie w usługach publiczności. Co mnie do tego, powiada Skarbek, ja sobie nowych, zdrowych sprowadzę. Tak mówi człowiek bez serca, zimny spekulant i egoista. Nie uwodźcie się rozgłaszanemi poświęceniami majątku i zakładami, wszystko to są oszukaństwa; szachrował, szachrował; jeszcze na końcu sławę chce wyszachrować i wykpić od współczesnych i potomnych i na ten cel odłożył cały majątek, któryby jako cnotliwy obywatel i rozsądny mąż w teraźniejszém, nieszczęśliwém położeniu kraju, rodzinie powinien przekazać. Skarbek posłał szukać nowych aktorów w Krakowie, Warszawie i Wilnie; dawniejsi dosłużyli się podobno tułactwa, jak gdyby teatr Skarbka nie był publicznym i téj saméj publiczności, u któréj starzy aktorowie zasługiwali się. Ale publiczność lwowska nie ma dość szlachetnego uczucia, ażeby pomścić taką niewdzięczność; z resztą jest ona zerem. Nie wiem do tych czas, czy sprowadzono Skarbkowi nowych aktorów. A tym czasem zjawili się we Lwowie miejscowi komedyanci nadworni. Grają oni bezpłatnie dla rozrywki Monsyniora po francuzku. Oto są imiona ich: Henryk Fredro, Edward Stadnicki, Henryk Lewicki, Crenaville, Edward Fredro, Siemińska (stara), Tadeuszowa Turkułowa, Karólowa Krasicka i t. d. Kobietom się nie dziwuję, bo mają długie włosy, a krótki rozum; i mężczyznom tym nie dziwuję się, bo z krótkimi włosami krótki mają rozum. Przysłano mi tu afisz tych komedyantów, poczynający się od słów: „Théatre de Société. Dimanche le 27 fevrier 1842.“ W inne dnie może inni byli komedyanci, bo o nich tak łatwo we Lwowie, jak o głupstwo. — Wspomniałem już, że w Galicyi nie ma praw, którymby cenzor ulegał w urzędowaniu swojem; a chociażby były, niewykonywanoby ich, co na jedno wychodzi. Ktoby zaś chciał przekonać się, o ile 1831. roku obostrzona została cenzura, czy to w skutek tajemnych poleceń, czy dla osobistych złych chęci i złego sumienia cenzora; niech tylko weźmie do ręki Pamiętniki, Lwowski i Galicyjski; Pszczółkę i Haliczanina, niech je porówna z tém wszystkiem, co teraz drukują; a gdyby tylko w kraju ulegającym cenzurze despotycznéj można z dzieł wytłoczonych sądzić o oświacie narodu, wnosiłby zapewne, że oświata w Galicyi cofa się spiesznie. Jakkolwiek pamiętnik składał się po wielkiéj części z tłumaczeń,

często zupełnie bezużytecznych, n. p. O obowiązkach handlowych Ameryki z Anglią, Opisanie Krysztofa króla Hajty i t. p., jednakowoż znajdowały się w nim i pierwotwory, częścią przedrukowane z innych czasopisów, lub dzieł, częścią płody krajowców. W Pszczółce polskiéj postrzegamy już więcéj usilności w ubieganiu się za utworami oryginalnymi, a recenzye pism w kraju wychodzących i sprawozdania pod napisem: „Duch pism zagranicznych,“ obznajomiały o postępach piśmiennictwa polskiego w ogólności i rozbudzały czynniejsze życie literackie. W obydwóch tych pismach widzimy głoszone zdania, za któreby teraz więziono. Tak n. p. Stanisław Jaszowski nie lękał się powiedzieć w artykule o życiu i dziełach Urszuli z Wisznowieckich Radziwiłowéj, że Jezuici przyczynili się w Polsce do upadku nauk i przytępienia smaku. Piśmienny korrespondent narzeka na zaniedbywanie języka polskiego w uczelniach galicyjskich; inny znowu wyśmiewa arystokracyą galicyjską, jak przy zaprowadzeniu stanów i sejmów w 1817. sadziła się na zbytki i okazałości i t. p. Tego rodzaju zdania wolno było wtedy drukować, a rzucone drobne ziarnko rozsądku i prawdy, miało jeszcze gdzie wschodzić. Cenzorem na ów czas był Bernhard, radca rządowy, człowiek umiarkowany i nie namiętny. Miał swoje dziwactwa i uprzedzenia często w mierze, ale przynajmniéj mniéj szkodliwe. I tak n. p. nienawidził słowa *nawiasem*; zdawało mu się zawsze, iż ono mieści w sobie jakoweś ukryte znaczenie, że piszący w ten sposób chcą jego baczność podchodzić. Nie było sposobu wybić mu to z głowy. Spokojny z przyrodzenia, ilekroć obaczył to słowo, gniewał się, rzucał i przekreślał czerwonym ołówkiem. Dla tego téż jakby wymiótł go w dziełach za jego cenzorstwa drukowanych. Z innych niby dyplomatycznych przyczyn nie cierpiał także słów: „Polska, Polacy,“ i pisał zawsze natomiast: „kraj, ziomkowie,“ nie zważając, czy to będzie do rzeczy, lub nie. Kiedy Siarczyński wydając swój *Obraz*, zechciał dać tytuł: „Sławni Polacy z wieku Zygmunta IIIgo,“ przekreślił Polacy i napisał: ziomkowie. Biedny autór musiał się prosić i jak można złemu zaradzać. Zdaje się, iż gdyby kto był napisał geografią polską, wyszłaby wtedy pod tytułem: Geografia kraju. W Pszczółce polskiéj miała być zamieszczona piosneczka, wychwalająca stroje narodowe; jedna z jéj zwrotek była następująca: „W dziewajcie bracia żupany, zapuszczaj wąsy Polaku! Ten co gromił bisurmany, Nie wjeżdżał do Wiednia w fraku.“ Poczciwy cenzor przekreśla Polaku, i pisze, jak już wiemy, ziomku; ale przekreśla także *do Wiednia*, zapewne ujmując się za sławą narodową i pisze natomiast *do Paryża*. Zdawało mu się, że to wszystko jedno. Przedstawienia były nadaremne, i oczywiście piosnka nie mogła być drukowaną. Szczęśliwiéj powiodło się z Dumami podolskiemi Zaborowskiego. Bernhard nie pozwalał na umieszczanie ich w Haliczaninie, utrzymując, że mieszczą w sobie wezwania rewolucyjne. Wydawca nie mogąc go sam uprosić, udał się do jego kucharki, która w wielkich była łaskach. Prosta kobieta, mało co rozumiała z uczonych przedstawień, tyle jednak pojęła, że tam nic nie ma przeciwko cesarzowi, tylko przeciwko Turkom; podchlebiało jéj także, że się do niéj w tak ważnych przedmiotach udają. Zwleka zatém natychmiast czypek z kołka, aby się ubrać przyzwoiciéj i z nożem w ręku, którym siekała, weszła do pracowni swojego przyszłego małżonka, (Bernhard zaślubił ją w kilka lat późniéj) a nakiwując mu rzekła: „Co, ty myślisz na starość zbisurmanić się? i nie pozwalasz nic przeciwko Turkom drukować? Możebyś chciał także seraj założyć? Wart ihr Männer, ihr Türken!“ Skończywszy, odeszła, nie czekała odpowiedzi, a cenzor mówił za odchodzącą: Nauta de rentis etc.; i dumy Zaborowskiego były drukowane. Z tem wszystkiem Bernhard był jednym z najłagodniejszych cenzorów tamecznych. Nie poważał się jeszcze, jak dzisiejsi, pisać: „Typum non meretur.“ Co było ulubionem Peumanna. Za takie barbarzyństwo w państwach, chociaż despotycznych, ale przynajmniéj troszeczkę oświeconych, cenzor zostałby odesłany, aby na nowo od rózgi zaczynał, w Galicyi uchodzi to za dobrą monetę. Twardy zabiłby sęk, ktoby zapytał, jaka téż umiejętność była przeważająca w Pamiętnikach lwowskich i w Pszczółce polskiéj? Wszakże literatura powinna być objawem usposobień i dążności umysłowych. Zabawka to, nie literatura, gdzie piszący nie obierają sobie pewnego naukowego zawodu, w którym wyłącznie doskonalą się i pracują; ale z tego i owego liznąwszy cokolwiek, drukują, uważają pisma swoje za pobożne, potrzebne zatrudnienia. Gdzie autorstwo nie może być stanem oddzielnym, tylko jest przyczepionym do innych; tam nie ma jeszcze w kraju oświaty, znakomitych dzieł spodziewać się nie można; tam nie ma nawet literatury, dopiero się na nią zanosi. Ktoby z Pamiętników lwowskich i Pszczółki polskiéj chciał sądzić o przymiotach, zdolnościach i cechach ówczesnych pisarzy, musiałby im przyznać rozwagę, pracowitość, łatwość w składaniu wierszy i większe chęci jak siły. Było więc wszystko, cokolwiek przy zaniedbaniu i skrzywieniu wychowania publicznego być mogło. Z pierwotworów przekonywających, że autór strawił swój przedmiot, nie znajdziesz tylko rozprawki na doświadczeniu oparte, raczéj opisanie doświadczeń, n. p. O ulach Waleryana Dzieduszyckiego, O rudniach w Galicyi bezimiennego i t. p. Z resztą pominąwszy różnobarwne tłumaczenia, same tylko kompilacye historyczne, mniéj lub więcéj ciekawe, użyteczne, opowiedziane powabniéj lub suszéj, n. p. O dziennikarstwie w Polsce, przez A. Chłędowskiego; O początkach i wzroście arcybiskupstwa łacińskiego i żywota arcybiskupów w Lwowie, (nie pomnę już, czy nie tłumaczenie) przez Brockiego; O Radziwiłowéj, O Elżbiecie Drużbackiéj, O Niemiryczowéj, przez St. Jaszowskiego; O Stanisławie Łubieńskim, przez J. Łopackiego i t. d. Piszących wiersze był szereg nie mały, lecz niektórzy z nich nie należą do Galicyi, jak Szymon Konopacki, Antoni Górecki, Bruno Kiciński, Konstanty Majeranowski i Jachowicz; inni znowu wyrwawszy się w chwili

rozkomoszenia z jakimsiś miernym wierszykiem, skoro ochłonęli, wracają do swoich zwykłych zatrudnień i zamilkli odtąd podobno na zawsze, jak: Antoni Bozewski, Franciszek Rożen, Edmund, Małkowski i Józef Brykczyński; dwóch się tylko było przechowało do tych czas: Nepomucen Kamiński, o którym wyżéj mówiliśmy i ś. p. Stanisław Jaszowski, który do śmierci zbierał rymy. Z ustaniem Pamiętnika galicyjskiego w 1821., który równie jak Pszczółka dla braku czytelników utrzymać się nie mógł, panował letarg w piśmiennictwie galicyjskiém. Zapowiedział w prawdzie Piątkiewicz dwunastu Piątników na rok 1827., lecz skończyło się na jednym, którego nie dobrze przyjęto, bo był to prosty spekulant, przedający pod wiele obiecującymi napisami bezużyteczne ziołeczka, nawet pokrzywki. Zły sobie zawód obrał ze swoim przemysłem; nie uważał, że w Galicyi przeda łatwo dziczkę za wyśmienitą gruszę, ale nazwiskiem dzieła i szumnémi obietnicami w piśmiennictwie nie znęci, bo chociażby wziął z nieba przedmiot i myśli, nie poruszy ciemnéj przez rząd protegowanéj obojętności, a dobre czy złe mało kto czyta. Szlachcic woli nawet zapłacić, jak czytać, byle się tylko zbył z karku napaści autorskiéj, jaką był wprzódy August Kretowicz, a teraz jest Ludwik Zieliński, który po wszystkich oberzach, jak eksekucya, od numeru do numeru swoje drukowane głupstwa roznosi, a co przytém usłyszy i obaczy, to także przydać się może. Nie pojmuję, z kąd się bierze ta nierozsądna delikatność, aby pozwolić sobie cokolwiek narzucać. Sam roznosiciel wyśmiewa tę słabość, choć z niéj korzysta. Wszakże kto ma chęć szczerą kupić dzieło, to do księgarni trafi, a mógłby się obejść bez tego, aby o nim błazny mówili: kupił, bom go przytomnością moją zażenował. W tymże samym czasu przeciągu, kiedy wychodziły wspomnione do tych czas pisma czasowe, dawali się poznawać publiczności niektórzy galicyjscy pisarze ze swojemi osobno drukowanemi pracami. Historyczna Franciszka Siarczyńskiego i Ignacego Chodynieckiego, rólnicza Ferdynanda Reutera i Adama Kasperowskiego, statystyczne Stölcera, a fizyczne Torosiewicza, Stirba de Stirbic i Kunzyka, odznaczały się pracowitością i nauką. Ignacy Czerwiński z Grzędy, w licznych pismach swoich, z których celniejsze są: Dzieje kultury w Polsce i Okolica zadniestrska, pomieszał z wielu głupstwami wiele pomysłów ważnych i na ów kraj i owe lata przedwczesnych. Ale w tém wszystkiém nie masz związku i następstwa, są to poodrywane, gdyby przypadkowe uwagi, albo raczéj doświadczenia. Dowiódł niemi wszelakoż, iż chociaż nie ukształcony filozoficznie, nie był jednak papugą, która cudze słowa powtarza, ale i sam umiał myśleć. Stanisław Dunin-Borkowski zasłużył się wydaniami. Wydał w roku 1834. Psałterz królowéj Małgorzaty, bardzo ciekawy i ważny z wielu względów. Przeciw temu wydaniu odezwawszy się Kopitar z pretensyami, odkrył nie tylko swoją nieumiejętność, ale i nikczemność. Dokładnie wykrywa jego głupstwo odpowiedź tegoż samego Dunina-Borkowskiego, wydana w Wiedniu roku 1835: Zur Geschichte des ältesten polnischen Psalters.

Kilkunastoma laty pierwéj, bo podobno w 1818., wydał podróż do Włoch. Jest to podróż po książkach, opisujących gabinety naukowe, szczególniéj galerye malowideł i zabytki dawnéj sztuki w Włoszech. Przedmioty te są już tylekrotnie i tak dokładnie opisane i odrysowane, że ja nieruszając się krokiem z Paryża, mógłbym wybornie podróż taką odbyć. A rozmowę z papieżem zmyśliłbym sobie w przekonaniu, że Jego świątobliwość o to się nie upomni. Jakkolwiek tedy tę podróż mam za tłumaczenie z kilkunastu oryginałów, to jest ona jednak prawdziwém zbogaceniem literatury naszéj, bo mówi o przedmiotach, polskiém piórem nie tkniętych. Nie tak szczęśliwie doświadczano zdolności swoich w pięknem umnictwie. Różne dzieła Walentego Górskiego, niegodziwe wierszyska; Józefa Pajgerta z Sidorowa, dzieła wierszem i prozą, Zygmunt z Szamotuł i powinszowania dla dzieci Augusta Kretowicza, zabawki rymotworcze i powieści historyczne Stanisława Jaszowskiego, Karpaty Antoniewicza i jego Bielany, dzieła Ignacego, hrabi Karsznickiego i t. d.: oto są wcale nie potrzebne płody i żal prawdziwie bibuły, na któréj je drukowano. Ci autorowie nie posiadali najmniejszéj iskierki umniczego talentu; mroźny i gnuśny ich umysł zabijał poezyą, gdziekolwiek się jéj dotykał. Zdawało się, jakoby zadaniem ich było, umorzyć w płodach swoich życie tam nawet, gdzie je gotowe zastali; o tworzeniu nie ma już i mowy. Nie wątpię o dobrych ich chęciach; ale jak lodowatość, suchość i nieurodzajność duszy czyniły ich niezdolnymi do zatrudnień wymagających zapału, natchnienia i twórczości, tak znowu brak nauki i próżniactwo nie dozwalały im porzucić wierszy, a kierować się przynajmniéj na szperaczy. Jeden tylko Jaszowski usiłował oboje połączyć i oto znachodził z czasami ziarnka jak ślepa kura. W pismach ich obaczysz język polski potwornie skażony, bo jak Galicyanie powstali z zepsucia i mieszaniny Polaków, tak też z zepsucia mowy polskiéj powstał język galicyjski. Z téj doby nie masz oprócz Tymona Zaborowskiego, który błysnął talentem prawdziwie poetyckim i umiał po polsku. Prace jego odznacza bystra wyobraźnia, obfitość uczuć i łatwość w ich oddaniu. Zjawisko takie byłoby na zawsze niepojętém, gdybyśmy nie wiedzieli, że on był uczniem szkoły krzemienieckiéj, w czasach jéj świetności. Wspomniony wyżéj Pajgart odezwał się znowu w 1841 r. po długiém, i szkoda że nie dłuższém milczeniu. Wydał on książeczkę pod napisem: Miłostki poety z Komentarzem Vitalisa Kukułki. Między tym świeżym płodem a dawniejszemi sielankami widać oczywisty postęp w ogładzie wiersza i w czystości mowy; talentu jak nie było, tak nie ma. Przybyła zaś zarozumiałość i ta ufność sama w sobie rozkochana, która nie przystoi tylko dzieciom źle wychowanym i głupcom. Litować się trzeba nad usilnością autora w dowodzeniu wierszem i prozą, że się w jakiéjś tam Wandzie nie kochał, jak gdyby od tego losy Europy zawisły, a to nikomu ni śmier-

dzi, ni pachnie; owszem dowodzi przeciwnie, że się kochał i podobno jeszcze kocha, chociaż już pomiarkował, że nadaremnie. Wygląda on z tłumaczeniami swojemi jak ów wilk w bajce, który stanąwszy przed lwem, powiedział: „dalibóg nie zjadłem krowie cielęcia i byłem w innéj stronie zupełnie, kiedy cielę zginęło.“ A lew się dopiero wtedy dowiedział, że cielę krowie zginęło, i że podejrzenie padło na wilka. W jednymże czasie wydał Gątkowski bajki mazurskie równéj co i wiersze Józefa z Sidorowa wartości. Jest z czego i śmiać się i nad czem płakać. Opuśćmy te widoki pustkowia, unieśmy się do złotego czasu literatury w Galicyi, w r. 1830. Najlepszym dotychczasowym płodem galicyjskim był Haliczanin, wydawany przez Walentego Chłędowskiego. Jakkolwiek wydawca w umieszczonym na początku godle, kasa się nie skromnie i nie na swoją rzecz, obiecując błąd zabić i przesądy wytępić; jakkolwiek rozprawa o filozoficzności języka naszego i powieść: Kamień pod Liskiem, każdemu pismu ujęłyby wartości, jednakowoż zaprzeczyć nie można, że Haliczanin był jedyném ogniskiem wszystkich silniejszych, miejscowych talentów, prawdziwą skazówką oświaty tamecznéj. Uważamy w nim dążności wyraźniejsze. Nie jest to więcéj dziecko, któremu to i owo się podoba, ale młodzian zgłębiający z pewnym stałym charakterem. Przeważają poezya z filozofią. Porównajmy Haliczanina z Pszczółką, która go lat dziesiątkiem wyprzedziła i tego samego miała wydawcę, a przekonamy się o widocznym postępie, o wielkiéj zmianie wyobrażeń i wzroście nowych talentów. Pszczółka zalecała się tylko pracą, Haliczanin już i twórczością. Pszczółkę składają same prawie kompilacye, Haliczanina same utwory namysłu i imaginacyi. Pszczółka zgromadzała tylko materyały, Haliczanin już je przetrawiał, zmieniał w żywioł dla własnych stworzeń. Z kąd się wziął postęp taki w kraju, gdzie nie zmieniono wychowania publicznego, ale upośledzano nieprzerwanie oświatę? Co sprzyjało rozwinięciu tylu talentów w kraju, gdzie je nie przerwanie przytłumiano i wytępiano? Pytania te zostałyby zawsze zagadką dla uważającego rzeczy z daleka; wynajdowałby przyczyny wewnętrzne, kiedy tym czasem popęd był czysto zewnętrzny, zagraniczny. Nie ma wątpliwości, że i w Galicyi rodzą się ludzie ze zdolnościami, że i w Galicyi udają się talenta jak wszędzie indziéj, ale rząd stara się je zepsuć, zmarnować. Młodzi współpracownicy Haliczanina posiadali wprawdzie przyrodzone zamiłowania do piśmiennictwa i nauk, lecz Bóg wie, jak marny obrot by im nadano, puszczając zwyczajną w Galicyi koleją. Jeden z nich, Józef Dunin-Borkowski, wychowany w szkołach warszawskich, opuściwszy je dopiero za rekwizycyą rządu austryackiego, przywiózł z sobą jak towar zagraniczny znajomość języka polskiego, poważanie piśmiennictwa, wiadomość o autorach i dziełach polskich, gdzieś tam wychodzących, i wcale odrębne o nich pojęcia, jakiemi wpływał na początkujące talenta. Nie długo potém wystąpił w Wilnie Adam Mickiewicz z rozprawą o romantyczności przy dwóch tomikach poezyi. Było to upłodnienie zasianego już ziarna. Reforma literacka nieugaszonym wybuchała płomieniem. Lgnęły do niéj serca młodzieży na ślepo przez samo przeczucie prawdy, dla samego powabu jéj oblicza wyglądającego zdala z za gęstéj mgły. Wstrząśnienie było zanadto silném, aby nie miało się dostać do spokojnego i strzeżonego kraju Galicyanów. Rewolucya moralna, wyzwalająca czynności duszy z pod wyroczni powag (auctoritatis) z jarzma ich urojonych granie i przykazań, nie mogła przejść bez zostawienia śladów w Galicyi, gdzie szczególniéj ciężar tych kajdan dźwigano. Wszystkie głowy myślące stały się jéj zwolennikami. Najpóźniéj uwierzył Albin Niezabitowski. Zdarzenie to wyrwało z rąk katowskich przeznaczone na ofiarę, młode talenta. Ktokolwiek dosyć sił w sobie poczuwał, starał się strząsać szkolne ciężary, którymi duszę jego obładowano i powierzał dalsze wychowanie swoje staraniu własnéj pracy, badaniom i namysłom. To tedy pokolenie literatów galicyjskich, których reforma, jakiéj w Polsce Mickiewicz był apostołem, z niepopsutemi jeszcze talentami zastała w kwiecie wieku i czerstwości sił, aby na nowo się uczyć przerabiać i to czego w szkołach uczono zapomnieć; mogło pod świeżymi wpływami tego szczęśliwego wypadku nabierać oświaty wszechstronnéj, nie zawisłéj od galicyjskich uczelni i pracować z chlubą i korzyścią narodu. Oprócz wydawcy, dwóch tylko współpracowników Pszczółki, Kamiński i Brocki, pisali także do Haliczanina; inni zaś sami nowi pisarze, literaci z powołania, wdróżeni w ten zawód. Jaki kierunek umieli nadać zdolnościom swoim, widzieliśmy w Haliczaninie, w Ziewonii i w pracach literackich. Do tego psuła, obcinała i odrzucała całkowicie cenzura najlepsze ich utwory. Przeto długi już czas nic większego od nich nie mamy i nie możemy sądzić o dalszym postępie ich talentów; nie zdaje się nam jednak, ażeby przepadli dla literatury ojczystéj, bo tyle pięknych przymiotów, jakimi obdarzyło ich przyrodzenie, tyle znowu namysłem i nauką nabytych, chociażby się dla nieszczęśliwych okoliczności spóźniły, nie zostaną jednak bez owoców, a drukować może gdzieś będzie sposobność. *) Ponieważ dotychczas na nich tylko spoczywają nadzieje literatury polskiéj w Galicyi, obaczymy zatém w czémby się mogły uiścić. Zdaje się, iż z tylu pięknych zarodów poezyj, jakie się ukazały pomiędzy pisarzami, o których późniéj mówić zamyślam, żaden nie przetrwa. Były to podobno owoce bujności młodzieńczéj i chwilowego natchnienia, wynikłości z poczucia i pojęcia poezyi, nie zaś wybuchy poezyj saméj, zamieszkującéj piersi wieszcza niewiadomie i niezrozumiale, jak bóstwo nieznane. Całe narody i szczególni ludzie poczynają duchową samoistność, od poezyj, lecz wyrastają z niéj z wiekiem, a tylko dusza prawdziwego poety przechowuje na zawsze nietknięty i nie zmniejszony ogień Westy. I Lelewel pisywał wiersze. Jakiekolwiek były zdolności tych młodych pisarzy w Galicyi, jakiekolwiek ich zatrudnienia i nauki, sądzili się jednak z razu wszyscy powołani na poetów, doświadczali się zatém w tém umnictwie obydwaj bracia Duninowie-Borkowscy, Augustyn Bielowski, Lucyan Siemieński, Dominik Magnuszewski, Ludwik Nabielak i Wincenty Pohl, który czasem i stósunkami do tego okresu należy. W Józefie Duninie-Borkowskim przeważającymi są filozoficzne zdatności, pamięć wielka i bystre pojęcie; do tego nie zmordowana pracowitość bez względów nawet na zdrowie i zaniedbaniem wszystkich obcych piśmiennictwu zatrudnień. Przywłaszczył on sobie kilka wschodnich języków, między którymi staro- i nowogrecki doskonale posiada. Oddany zgłębianiu greckiéj literatury, rozpatruje się w jéj źródłach, a postępując wytrwale w obranym zawodzie, zbogacony mnóstwem wiadomości, biegły badacz sztuk pięknych, z duchem przenikliwym i krytycznym, ani wątpić, że zbogaci kiedyś literaturę naszą, ocenieniem i rozbiorem greckiéj oświaty, która jest posadą europejskiéj. Spodziewać się należy, że praca ta będzie jedyną w swoim rodzaju, nie tylko w Polsce, ale nawet pomiędzy uczonymi Niemcami, którzy już tyle w tym zakresie wykonywali, gdyż on nie będzie ich odpisywał i powtarzał, ale własne dzieło utworzy.

*) Tygodnik wszelkie prace literatów galicyjskich jak najchętniéj przyjmuje, zaręczając zarazem, że nikt autora nazwiska się nie dowie, ponieważ redaktor tylko jest za artykuł odpowiedzialnym. *Przyp. Red.*

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.